



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEȚ.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebena i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

ADAM ASNYK

I POEZYJE JEGO.

(Dalszy ciąg).

Göthe miał najwyższą słuszość, twierdząc, że kto chce zrozumieć poetę, musi wkroczyć w kraj poety: zająć do niego tam, gdzie duchem przebywa, gdzie mieszka sercem. Gdy tak nie jest, poeta zrozumianym być nie może i pozostaje bez wpływu: nie zachwyca, nie unosi ze sobą i z poezją jego dzieje się to, co Asnyk pisze w przepysznym wierszu swoim: *Poezi do publiczności*: „Martwa to potęga i może kruszyć tylko pierś lutnisty“. Kluczem do zrozumienia Asnyka jest pojęcie go przez głęboką, synowską miłość rzeczy publicznej. To uczucie wiecznie mu przytomne, nie opuszczające go niemal nigdy, drga w każdej jego strofie, jest jego smutkiem i jego radością, jego zapalem i jego zwątpieniem — melancholią w piosence miłosnej, zgrzytem wyrzutu w chwili szału, ironią, która gryzie przy spojrzeniu w martwą serc zimnych, w lichosć dusz małych i jest to słowo zaklęcia, przez które czytać go trzeba.

Kto poezji jego nie uchwyci z tego tonu, będzie to dla niego księga zamknięta. Krytyk Asnyka w Ateneum Warszawskiem (Luty, 1881 r.) Tretiak, nie poszedł za poetą do tej jego krainy i dlatego źle go zrozumiał, błędnie osądził, zapisał karty długie wywodami nad sentymentalizmem Asnyka w pierwszym peryodzie jego twórczości, to jest po rok 1872. Przez ten „sentymentalizm“ potępił ryczałtem najpiękniejsze, najbardziej uczuciowe jego utwory, te właśnie, w których melancholia poety śpiewa i płacze na nutę jak gdyby muzyki Szopenowskiej. Okres od 1872 roku,

czyli poezye zawarte w tomie trzecim wydań częściowych, nazywa Tretiak nowym, w którym wprawdzie znajduje się echo dawnych tonów i uczuć poety, to jest tonów smutku, tonów żałości i skargi, ale stają się one coraz rzadszemi, coraz podrzędniej brzmią w harmonii ogólnej a z całości wieje „technienie inne“. Ale nie — zdanie to mylne. Asnyk od początku do końca jest w uczuciu swoim, w jego szlachetnym gatunku, jednym i timsamym: jednym i temsamem jest też technienie, jak i natchnienie jego poezyi, a jeżeli koloryt ulega pewnej zmianie, jeżeli jego liryce przybiera coś tonów nowych, dzieje się to przez proces zupełnie różny od tego, jaki krytyk mniema w nim widzieć. Boleść pierwszej chwili, tego momentu, który powali przed człowiekiem najdroższą jego miłość, potarga jego nadzieje, zabierze mu wiarę, której oddał duszę całą, boleść taka najpierw miota się i rozpacza, potem żali się już tylko i płacze, aż zwolna cierpienie zstępuje w głąb serca, gdzie pozostaje i czuwa, jeżeli to jest serce wierne i szlachetne, serce takie, jak Asnyka, który tak oto kreśli dzieje chwili, idącej po ciocie straszny:

Wzywałem ciemności: niech wstanie!
I niech mnie pograży w noc ciemną,
Wzywałem milczące otchłanie,
By łono zawarła nademną.

Wzywałem straszego anioła:
Niech ślad mój zagładzi na ziemi,
Niech wszystkie dni moje odwoła,
Niepamięć rozpostrze nad niemi!

Lecz próżno wzywałem litości,
Jak inni przedemną wzywali,
Głos tylko mnie doszedł z ciemności,
Co wołał:—Idź dalej! idź dalej!...

Wyrok okrutny, jaki od czasów Cheronei ludzie słyszą zawsze „po dniach nieszczęśliwych, w których zostaje pół rycerzy żywych“! Kto, po przejściu wielkich przewrotów nie padł trupem na miejscu, dostaje go—ten wyrok! Asnyk, jak niegdyś Słowacki, słyszał nad sobą głos przeznaczenia. Musiał iść dalej zboląły, zmęczony, niosąc brzemień okrutne żałości dręczącej i mogąc wzdychać ustawicznie ciężkim westchnieniem widma Greczynki:—„Ach! jak mi smutno!...“ Aby taki stan uczuć pojąć, trzeba choć zbliżyć się sercem do niego. Mickiewicz w podobnym momencie, *Żeglarz* w momencie bałwanów spienionych i zgrzytu lin okrętu, zawołał:— „Kto chce mnie sądzić, we mnie musi być, nie ze mną!“ Żale i smętność Asnyka trzeba odczuć przez boleści serca własnego, a wtedy zrozumie się fazy, które poeta przebywa. Zmiany spełniają się w wyrazie, a nie w treści uczucia: tylko brzmienie tonu modeluje się. Że zaś było ono zawsze najczystsze, najprawdziwsze, najszczerze uczuciem, a nie sentymentalizmem, dowód niezbity leży w tem, że Asnyk przed tak zwanym przez krytyka okresem nowym, już sobie pozyskał stanowisko wysokie, stanowisko uszczalonego przez ogół swój poety. Nikt i nigdy nie doszedł tego przez sentymentalność, choćby ją poparła najkunszowniejsza forma artystyczna: filigranowość, według wyrażenia się Tretiaka o Asnyku. A u nas mniej to jest możliwym, niż gdziekolwiek. Często tam, gdzieby nam było potrzeba głębokiego, silnie skupionego w sobie uczucia, mamy porywy wyobraźni i zapalność natur wrażliwych: płoniemy często ogniem słomianym, który pali się w nas i gasnie, buchnąwszy w górę słupem ognistym. Ale w każdym razie ogień to jest, choć w nim płonie ducha materyał lekki: ogień prawdziwy i gorący w krótkotrwałym płomieniu swoim; sentymentalność, uczucie zimne, choć łzawe, nigdy nie popłacało u nas, szczególnie w zakresie tak szerokim, jak uznanie publiczne. Tak u nas, jak i wszędzie

koteryjka jakaś, mała, jak salonik, choćby nawet pewne koło literackie, może czasowo sztuczną reputacją wyrobić, ale nigdy nie da jej darmo ogół cały: nie da jej bez tego, aby poeta wzruszył go, sercami wstrząsnął i serca te przeniknął. Musi tak być: w większym, mniejszym stopniu, ale potrzebuje być nieodwołalnie, Asnyk liczy się już do poetów w narodzie żyjących, a węzeł podzielnego, braterskiego uczucia zadzierzgnął się między nim a powszechnością czytającą przez te właśnie poezje, które wyrokiem sentymentalności dotknięte zostały. Krytyk widzi w nich filizanecki z porcelany rymotwórczej, białe i złocone, ale nie! jest to forma poezji szczerzej, wielce piękna i delikatna, konieczna dla takiego jak Asnyk poety do oddania tych uczuć, które napelniały mu serce po złagodzeniu się żrącej ducha jego boleści—forma, w której widzę znowu pokrewieństwo ogromne z delikatną równie formą Szopena. Dusze takie, jak tych dwóch: nawskróś artystyczne, posługują się nią mimowoli w tym stanie ducha, który przez to, że żyją różżalonem sercem we wspomnieniach, że otacza ich chmura tęsknoty, musi mieć dla wyrazu poezji swojej delikatność, nikłość prawie, piękność z tonu minorowego. Asnyk takie utwory swoje nie „sentymentalizmem nalewał“, ale napelniał je tym smutkiem głębokim, który odczuty został i wytworzył nie sympatyj między nim a sercami, smutnemi również.

Ponieważ poeci nie piszą na zwojach pergaminów, któreby szły pod zamknięcie szaf bibliotecznych, ale rzucają słowa swoje tłumom, aby wstępowały w żywe serca ludzkie, ma słusność krytyk, gdy przy studyowaniu poety, doszukuje się wrażeń przez utwory jego sprawionych. Czy przecież przy dwóch pierwszych tomach poezji Asnyka, „było rzeczą obojętną, jaka jest ich treść, bo wszystkich zachwycała forma?“ trudno przypuścić? „Wszystkich“ to jest powszechności całej na formę się nie bierze, a powtórzę raz jeszcze: szczególniej u nas. Nie jesteśmy naredem tak nadmiernie rozmiłowanym w artyzmie, i powiedziałabym nawet, że jest przeciwnie. Krytyk dodaje, że „poeta wiedział, czem ma napelnić te cacka, te filizanecki“, więc tedy nalewał je sentymentalizmem i naiwnością. Sentymentalność, była dla kobiet, co zajmują poezją na wety, a naiwność, jako „sielankowe nowalia, również mile została witana w salonach“. Moje spostrzeżenia były zupełnie inne. Gdy pierwsze dwa tomy poezji Asnyka doszły do nas, zajmowano się niemi wszędzie, gdzie tylko literatura ojczysta interes rzeczowy budzi: zajmowano się niemi tak, jak pierwszym odezwanem się głosu, który objawił, że przybywa nam nowy a niepospolity poeta: czytano go, pożyczano sobie książkę—zajmowano się gorąco. Znaleźli się, jak zwykle w takich razach, i wielbiciele zapalenia i przeciwnicy, ale wrażenie wywarło było niesłychanie szersze nad to, które krytyk konstatuje. Żmichowskiej naprzykład nie można zaliczyć do rzędu wspomnianych przez krytyka kobiet, a wiem jak głębokiem było jej wrażenie, przy czytaniu Asnyka. Przyznać muszę, że trafiłam u niej na pewne przeciw niemu uprzedzenie, które przecież ustąpiło miejsca wzruszeniu bardzo silnemu, bo wycisnęło łzę z tych oczu, które umiały płakać tylko szczerze, gdy serce wzruszało się tylko przez uczucia szlachetne. Pierwsza rzecz której słuchała wtedy, czytanej sobie głośno, był wspaniały wiersz: *Publiczność do poetów, Poeci do publiczności*, i już wrażenie było wielkie. Nazwała rzecz rozumną i piękną. Przy wierszu: *Na Nowy rok* rozpromieniła się jak ktoś taki, którego ogarnia zapal, potem przyszły: *Szkoda, Zmarłej dziewicy, Siedzi ptaszek na drzewie* i rozrzewniła się. Wzięła książkę i sama już sobie półgłosem przeczytała *Szkodę, Siedzi ptaszek na drzewie*. *Szkodę* czytała dwa razy; przy ostatniej strofice *Siedzi ptaszek*, otarła łzę z oka.

Znałam również człowieka, którego mężki, poważny, szlachetny umysł między niepospolitych ludzi zaliczać kazał i ten (Karol P.) umiał na pamięć *Różne tzy*, i *Zmarłej dziewicy*. Był on wprawdzie przez osobiste uczucie bardzo poecie przychylnym, ale nie to działało tu: wzruszał mu i zachwycał serce, które też było głęboko, głęboko smutne.

Ale trudno tu wszystkie takie szczegółowe spostrzeżenia zmieścić. Prawnik, adwokat z zawodu, człowiek którego czaszka odkryła się z włosów w stronach świata dalekich, przyszedł do redakcji dowiedzieć się, kto jest ten *Ely*, z którego poezjami w piśmie naszym się spotkał? Był to wprawdzie człowiek szlachetnego w literaturze smaku, bo *Stances* Juliusza Barbier niemal że całe na pamięć umiał.

Wspomnienia to pamiętnikowe, może tu nie na miejscu, ale się gwałtem pod pióro cisną za postawieniem sobie przed umysł chwili pierwszego wrażenia, które Asnyk wywarł. Panna służąca w domu, gdzie pani często czytywała ludziom głośno jeszcze mało znane wtedy utwory poety, poczęła je sobie ukradkiem przepisywać: *W chacie, Chłopca mego mi zabrali, Pan Jezus chodzi po świecie* i bardzo wiele innych z tego rodzaju. Przekonana jestem, że teraz w Jeziorny pod Warszawą, gdzie dziewczyna ta do rodziców powróciła, umie je i powtarza, śpiewa może wiele osób i taką to drogą poeta staje się popularnym, narodowym.

Muzykalność, rytmiczność wiersza Asnykowego sprawia, że się niezmiernie łatwo w pamięć wbiła i zostaje w niej. Jest z wielu jego poezjami tak, jak z nutami pewnych piosenek: za pierwszym zasłyszonym tonem może je dośpiewać ust mnóstwo.

Są w Asnyku strofy rozmarzenia, konieczne prawie przy jego organizacji poetycznej i stanie ducha w pierwszym okresie jego twórczości. Pragnąłby czasem nie być, uciec gdzieś, kędy nie ma starć, boleści, pragnień palących i wspomnień okrutnych, zawodów. W takim nastroju psychicznym pisany był *Endymion* i inna to nuta tego samego uczucia co: *Pójąc Falerno: Anakreontyk Zapomnieć siebie i czasów!*... Tam brzmi to ostrzej, zgryźliwiej, dziko, jak rozpacz, tu jest już tylko wyraz zmęczenia się smutny. „Pójść za snem i za niczem!...“

„O! taką wieczność zyskać sobie cenną,
Z takim aniołem, co życia nie budzi,
Lecz tylko duszę kołysze promienną,
I łzami czoło rozpalone studzi.“

Dla tych, którzy nie zajrzą głęboko w ducha poety, lub sami nigdy takiego stanu duszy nie przechodząc, zrozumieć go nie są zdolni: dla olbrzymio mocnych, albo nigdy nie spracowanych, nie zmęczonych, ma to pozór sentymentalizmu. Ale jest to tylko pragnienie odpoczynku, choćby za tak smutną cenę jak „pójście za niczem“ i każdy kto w ducha poezji Asnykowych wnuknie, łatwo to zrozumie. Ta filizanecka jest łez pełniejsza od innych.

Później już, później, po ukrzepieniu, po odpoczynku ucieka się poeta do natury. Z tego powstaje cały cykl poezji: *W Tatrach*. Asnyk nazywa naturę „Dobrą piastunką“:

„Dobra piastunko! trzymasz nas tak mocno,
Na swojej piersi, co się ciągle chwieje,
Sny cudowności zsyłasz porą nocną,
A we dnie własne opowiadasz dzieje...
Nawet prostaczkom dając mądrość wielką,
Dobra piastunko i nauczycielko.“

(Dokończenie nastąpi)

NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Rękę przyłożyła do pieca, próbując, czy się już ocieplać zaczął, bo w izbie jeszcze mało czuć było

skutków ognia. Nie pilno jej było przemówić; patrzyła na drewka, które płonęły nie ochoczo, stała jakiś czas milcząca. Podniosła potem zwolna głowę i zapytała przybyłego Damazego:

— A gdzieście to bywali, paneczku?

— Oh! oh! — odrzekł ostrożny Damazy, — po Koronie się włóczyłem, zwyczajnie, jak to, gdy człowiek chleba szuka. Zachciałaś stara!

— No, i tuście za tem przybyli? — przebaknęła Chaja, ruszając zlekka ramionami.

Marcyjan nie dał bratu odpowiedzi i wtrącił, żywo spoglądając na niego:

— On tu przejazdem tylko, a jutro, jak dzień, musi dalej w drogę!

— Aj! aj! — rzekła Chaja, — to niechby choć dzień spoczął. Jutro, po takiej zawiei, drogi żadnej nie będzie, a kto wie, czy wicher do rana ustanie?

— To co! — wysilając się na wesołość zawołała podłowczy, — albo to my do tego nie przywykli, by w każdą porę, czy śnieg, czy wicher, czy pioruny, czy ślota, na przebój iść, gdy potrzeba? Toć to nasza szlachecka dola!

Chaja, patrząc ciągle w ogień, potrząsała głową:

— A co tak pilnego? — spytała. — Czy już brat wasz miejsce znalazł i jedzie poniewoli? bo, po dobrej woli, w taką porę... aj! aj! ludzi w polach śnieg zasypuje; albo to nie bywało?

Damazey milczał. Zachmurzył się, posłyszawszy, że brat mu zaraz nazajutrz ztąd precz kazał iść, o czem nie myślał wcale, ale kłamu zadać mu nie chciał, bo Marcyjan bez przyczyny tego nie mógł uczynić.

— Godziłoby się — dodała zwolna stara żydówka — dla brata dłużej tu zagościć.

— Pewno, pewno — zawołał Marcyjan — i ja go prosiłem o to, ale on jak się uprze... No — i służba nie żarty.

— Z przeproszeniem? — odezwała się Chaja, spoglądając na Damazego — u kogo pan się umieścił?

— A w Nieswieżu! — wtrącił żywo podłowczy.

Chaja głową potrząsała, lecz odezwać się i zdania o tem dać nie śmiała. Nieswieżki pan, bratem był Bialskiego pana, a choć ze sobą chłodno jakoś żyli i koso a zazdrośnie na siebie spoglądali, zawsze to była krew tażsama, książęca.

— Już jak pan w Nieswieżu mi ał służyć — przebaknęła cicho — to było prawie jedno jak u nas. Czemu się pan razem z bratem do nas nie dostał?

Damazey radnierał, musiał braterskie kłamstwa na swój karb przyjmować — i odparł:

— Tu-bo o miejsce trudno!

— Hm! hm! — mówiła Chaja, patrząc ciągle na ogień, który miał dla niej jakąś siłę przyciągającą. — U nas o miejsce albo trudno albo nie, a kto się umie starać, choćby żadnego nie było, znajdzie się dla niego. Pański brat w ła skach u jaśnie oświeconego chorążego.

— Aj! aj — przerwał Maryan — bodajęś tak zdrowa była!

— E! e! — zamruczała, Chaja — wiem, co książę o was mówi, że dopiero polowanie u niego idzie, gdy was łowczym zrobił.

Maryan przebaknął coś nie wyraźnie. Zamilkli na chwilę, a wicher w tej chwili uderzył okiennicami i świsnął przeraźliwie, po rynku przelatując.

— To pora! — odezwała się Chaja. — Jutro żadnej drogi nie będzie. Lepiej dzień w mieście przestać, samemu i koniowi spocząć, niż na gościńcu gdzie zmarznąć.

Dwaj Butrymowie nie nie odpowiedzieli. Chaja nie odchodziła, choć rozmowa zdawała się być wyczerpaną.

Jakby sobie coś przypomniała, uśmiezek po białych jej ustach się przesunął. Spojrzała na zadumanego Damazego i ciszej go spytała:

— A wiesz pan co się z Zaborską stało?

Drgnął Marcyjan, usłyszawszy to zapytanie, a i Damazy się zmieszał, bo ono dowodziło, że żydówka więcej pamiętała i wiedziała, niż było potrzeba.

— Co jemu do Zaborskich! — odezwał się podłowczy, zabiegając, aby się brat nie zdradził.

— Jaktó? jaktó? albo się to jemu ten młody kwiatek nie spodobał? albo nie biegał za panną? I rozśmiała się stara.

— Kiedy to tam było! — zamruczał posepnie Damazy.

— Nie tak dawno — ciągnęła dalej Chaja; ale chwalić Boga, żeś waćpan o niej zapomniał.

I ręką ku zamkowi machnęła.

Butrymowie milczeli, niechcąc przedłużyć rozmowy, a stara zakończyć jej nie chciała.

— No, nie wiesz pan co z Zaborskimi się stało?

— Zkąd-żebym miał o tem wiedzieć! — dość dobrze udając obojętność, rzekł zwolna Damazy, którego brat, oczyma w niego wlepionymi, pilnował.

— Aj! — mówiła żydówka, ozywając się — Pan pamięta jak one w małym dworku będą klepały. Często maki na chleb nie było; a i sól na kredyt brali, a teraz!...

— Cóż teraz, czy brat Zaborskiej wioskę jej zostawił? — spytał Damazy.

— Ah! on! on jeszcze sto lat żyć będzie, a grozniejsza nie puści, i kto wie, komu się po nim wieś dostanie. Ich inne szczęście spotkało — mówiła Chaja, uśmiechając się dwuznacznie — wielkie szczęście. Książę się bardzo nad niemi zlitował, wziął do pałacu; łaski wielkie! Aj! aj! Chodzą teraz w atlasach, a stara Zaborska — do niej ani przystąpić; nawet Wolski (wymówiwszy nazwisko to, splunęła nieznacznie), nawet p. Wolski szanuje ją i boi się.

— I zkąd-że tak wielka łaska? za co? — odparł Damazy.

Chaja, która stała o piec oparta jedną ręką, odjęła ją, poprawiła szubkę na sobie, ramiona podniosła, popatrzyła na Damazego z pewnym politowaniem, i — rzekła tylko:

— Jak to można wiedzieć?!

Znowu chwilę jakąś milczeli.

Chaja wpatrzyła się w ogień, Marcyan brata nie spuszczał z oka. Damazy stał podrażniony i chmurny.

— Pan się dawnym znajomym nie pokłoni? — spytała Chaja trochę szydersko.

— Daj-że mu pokój — wtrącił żywo Marcyan — na co się to zdało! Ani się do nich dostać łatwo, ani one teraz na starych znajomych chcą patrzeć.

Chaja się wciąż uśmiechała.

— Książę pan — dodała, głowę przechylając z jednego ramienia na drugie, bardzo na te panie łaskaw, ale i bardzo zazdrosny.

— O starą Zaborską? — podchwycił Marcyan. — Nie plotłabyś, stara — dodał. Co my tam wiedzieć możemy i na co o tem gadać!

Chaja się obejrzała wkoło i zdawała się nasłuchiwać, jak wiatr szumiał.

— Aj! aj! — rzekła — jaki ten pan łowczy niewierny pan! Choć w taką burzę i zawieruchę, w moim domu przynajmniej można sobie mówić co kto chce!

— Ja się nigdy nie boję niczego — przerwał zmieszany Marcyan — ale plotek nie lubię.

— Wej! wej — rozśmiała się Chaja — bodajęś zdrów był! Nie jesteś jegomość niczego ciekawy, bo wiesz wszystko, nu — ale brat co innego. Waćpanu Zaborskie ni śmierdzą ni pachną, a temu — wskazała na Damazego, kwiatek ten pachniał bardzo. I co za dziw! Takiej paniutki nawet po dworach szlacheckich ze świecą szukać. Żeby ją teraz wystrojoną zobaczył, choć trochę przymierzniała, niebożatko — wygląda jak wojewodzianka!

Poczęła się smutnie śmiać Chaja.

— Bardzo piękna! — mówiła dalej, choć nie to, co było — rozkwitł kwiatek i nędznieje. We dworze, prawda, wszystkiego do syta, czego dusza zapagnie, ale strach wiekusty, a na zamku (tu głos znizyła) jak w więzieniu za kratą.

Z miny podłowczego znać było, że rozmowie tej i poufny opowiadaniem Chai wcale rad nie był. Syknał kilka razy, jakby jej chciał przerwać, na co się ona nie zdawała zważać, bo ciągnęła swoje.

— Zaborska stara! — ona sama jeszcze się zamazę wydać gotowa, a znam takiego niejednego, coby ją teraz wziął, choć dawniej pluł na nią. Tylko że książę ani starej, ani młodej nie puści na krok od siebie.

— Chajo moja — przerwał niecierpliwie Damazy, który się już nie umiał powstrzymać. — Z tego co mówisz, widać, że dziewczynę Zaborskiej o coś posądzają, alem ja ją dawniej znał. Stateczną

była i harda; ludzie plotą; staremu się może co marzy, a ja nie wierzę.

Chaja popatrzyła nań i zbrzękłą swą ręką uderzyła go po ramieniu. Zniżyła głos.

— Ja-bym też nie wierzyła — odezwała się — gdybym nie patrzyła. Nie takie u nas rzeczy się dzieją!

I palec położyła na ustach.

Niebezpiecznemu temu kierunkowi rozmowy rad był widać podłowczy koniec położyć, wstał ze stolka zaszępony.

— Po co o tem mówić? — zawołał do Chai.

— Po co? — odparła śmiało stara. — Waćpan tego nie rozumiesz, że człowiekowi na to patrząc długo, a nie śmiejąc o tem gadać, zbierze się tak we wnętrznościach, że gdy człowieka spotka, z którym można mówić a poskarżyć się, to mu gębę utrzymać trudno.

Z kim tu można szczerze słowo zamienić? ani wy, ani nikt z dworaków nie posłucha i nie odpowie, bo się wszyscy boicie. No — i jest czego! jest czego. Są tacy, co słuchają, jest takich dosyć, co donoszą.

— Chaja! — przerwał podłowczy.

— Eh! uśmiechnęła się stara — was się ja nie boję, a ten (wskazała na Damazego), jutro pojedzie i gdzieś zmarznie na drodze. Ja-m rada, że się wygadać choć mogę.

Damazy wcale nie przeszkadzał gospodyni, stał, ciekaw widocznie.

— Dziewczyny mnie i wszystkim żal wielki — mówiła Chaja — ale darmo to ukrywać, darmo temu niewierzyć: staremu ją matka sprzedała.

Pokiwała głową żydówka.

— Taką matkę — dodała — aj! żywcem-by spalić. Ale — cóż? Ona zawsze taką była. Pamiętają ludzie, gdy zamazę szła, co o niej mówili i o Kodeńskim panu wojewodzie. Potem mąż ją porzucił, bo się nie ustatkowała.

Przecież i to wszyscy wiedzą — szepnęła cicho — że... Faustynkę wojewodzianką zwał ojciec własny. Prawda, bieda była u nich, ale dziewczyna — by męża znalazła, a matka przytulisko — a teraz...

Damazemu oczy się paliły.

— Ach! ach! — odezwał się — wierzyć nie mogę — serce mi się krwawi.

— Co to pomoże? — odparła Chaja.

— A poco to rozpowiadać — wtrącił podłowczy. — Dziewczyna już jakby pogrzebiona, żal po niej, ratunku niema. Zapomnieć lepiej.

— Pożalować można — broniła się stara gospodyni. Pan myśli, że mnie jej nie żal?

Pomilczał chwilę.

— Gdyby człowiek mógł — dodała — plunąłby na tę starą, na tę Zaborską, nu! a przyjdzie ona za czem, wszyscy się jej kłaniają... Każdy się boi. Ona, co chce, to wyrobi.

Wskazała na zamek.

— Księżna ją chciała ztąd precz wygonić, a i ta niepotrafiła! — wzgardliwie się uśmiechnęła żydówka.

— Później, jak się sprykrzy — ciągnęła, nie mogąc powstrzymać się od paplania — nu! za mąż ją łatwo wydać będzie. Posag się znajdzie i męża wyszukają, ale póki książę żyje... — potrząsnęła głową.

Wtem podłowczy, który ciągle wstawał i siadał, rozdrażniony niepotrzebnem opowiadaniem, przerwał żydówce, wskazując, że się w piecu dopalało.

— Dosyć-bo już tego gadania — rzekł — niechaj piec zamkną, albo jeszcze dREW dołożą, a jemu siana przyniosą, bo mu się spoczynek należy.

Stara karczmarza, obu rękami pieca spróbowała, uśmiechnęła się i życząc dobrej nocy, wyszła z izby, obiecując przysłać siano na posłanie. Jakoż, nim się pomiędzy milczącymi braćmi rozmowa nanowo zawiązała, wpadł Icyk, ogromną niosąc wiązkę siana, którą rzucił na ziemię i umiejętnie, szybko uścielać zaczął.

— Przyslij mojego chłopca; ten mi dery przyniesie i pościel — odezwał się Damazy. To mówiąc, ujął brata pod rękę.

— Dlaczego ty mi jutro ztąd każesz jechać, nielitościwy człowiecze? — zawołał z wymówką. — To nie może być.

— To musi być! — odparł podłowczy gorąco — ja ci tu siedzieć nie dam, bo wiem, czem to pachnie.

Dziewczyna była w tobie rozmiłowana, pójdzie wieść po miasteczku, żeś przybył; uchowaj Boże głupstwa jakiego — życie niepewne.

Tobie nie ufam, jej nie ufam, a żebyśmy dla niej oba przepadać mieli, na to nie pozwolę.

— Za cóż znowu ginąć tak zaraz mamy? — odezwał się Damazy.

— Bo tu i ostroźniejszy od ciebie i mniej winni głową nałożyli — począł podłowczy; bo ja wiem, co się tu dzieje, a ty nie.

— Cóżem ja winien? — przerwał Damazy — jeszcze przecie zawinić nie miałem czasu.

— Niedługiego na to potrzeba; tyś gorączka. Dziewczyna ci z głowy nie wywietrzała — mówił Marcyan — a tu, dosyć jednego szeptu, abyś jutro zniknął i gnął w lochu, z którego żyw się nie dobędziesz.

Mówiąc to, podłowczy się wzdrygnął cały, nachylił się do ucha bratu i szeptał prędko:

— Wierź mi, wierź mi, nie narażaj mnie i siebie. Jedź, uchoź, biednego dziewczęcia nie ocalał już. To darmo.

Damazy głowę spuścił, ręce załamał.

— Nie wypędzaj mnie — rzekł — gdybym się nawet na największe niebezpieczeństwo miał narażać, po to przybyłem — widzieć się z nią muszę, będę.

— Ale to niepodobieństwo! — zakrzyczał Marcyan. — Matka sama cię wyda.

— Zostaw to mnie! — zakończył Damazy.

Podłowczy jeszcze się starał przekonać go, że się narażać nie powinien. Mówił długo, gorąco; Damazy pozostał niewzruszonym.

Marcyń burzyć się już i gniewać poczynił; — wostatku żądał przynajmniej, aby brat w zajęzdzie, gdzie o nim nazajutrz wszyscy wiedzieć mieli, nie pozostał dłużej.

— To się rozumie — przerwał mu przybyły. Oznajmiłeś Chai, że ja jutro jadę, więc wyjeżdżać muszę, ale dokąd — gdzie — o tem i ty wiedzieć nie powinieneś.

Ja się zgubię, czy nie, moja to rzecz, ty o siebie spokojnym być możesz.

Gorzkie to słowo obraziło okrutnie podłowczego.

— Człowiecze niewdzięczny! — zawołał desperacko — już ty mnie nie znasz, i o mojej miłości zwątpiłeś, widzę, kiedyś mnie takim mógł zgnać słowem, w samo serce. Myślisz, że mnie-by jednemu u świecie pozostawsz, żyć się chciało? albo to mi tak życie miłe i rozkoszne!

Rzucili się sobie na szyję bracia i uściskali, prawie do lez zmiększy.

Myślał już podłowczy, iż brata skłoni, aby się swych niebezpiecznych wyrzekł zachcianek, lecz, choć ten nie mówił nic, z twarzy mu jaśniało, że stał przy swoim.

Spierać się dłużej darmo było.

— Idźmy-no spać — odezwał się Damazy, a chęsz jutro pożegnać się z mną, przybądź zarania.

Tak się wreszcie rozstali, i Marcyan, oponczając się dobrze otuliwszy, napowrót się powlókł do zamku.

Godzina już była późna bardzo. Wietrzyisko ze śnieżnicą nie ustawało, a dęło tak, że silny w sobie Marcyan, idąc do domu, ledwie się mógł na nogach utrzymać.

Spostrzegł jednak, w górę oczy podniósłszy, że niebo się potrosze rozjaśniać zaczynało.

Na następnym dzień pewny był mróz ostry — dla podróżnego, co konno miał jechać, choćby i słomy i w buty napchał, i strzemiona nią poplatał — nie bardzo bezpieczny.

Podłowczy bowiem mocno był przekonany, że brat nazajutrz wyjechać musi.

Zamierzając wstać do dnia, co na zamku łatwym było, bo tu też wcześniej się służba budziła i po piecach i kominach ogień nieciła — rzucił się na swe twarde łóżeczko Marcyan i znużonym będąc bardzo, twardo zasnął. Przebudził się nazajutrz, gdy stróż z drzewem wszedł do jego izdebki i pies na niego zawarczał.

Spojrzał w okno — szarzało na dzień.

— Co na dworze? — zapytał.

— Mróz tegi, aie wichura ustała.

Zerwał się równemi nogami Podłowczy i natychmiast umywać i odziewać zaczął. Ogień tymczasem stróż rozpalil i — w oknie biały dzień po-

czynający się, coraz był widoczniejszym. Chciał brata uprzedzić, nimby wstał, p. Marcyan więc, i na ciepłe śniadanie nie czekając, zaraz z zamku wyruszył na miasto. We wszystkich niemal oknach, gdzie służba i dwór pański się miescił, widać już było światło i cichy ruch na podwórku.

W bramie krzatali się ludzie, śnieg wczorajszy łopatami odgarniając, bo go całe kupy nawiało nocą.

Zdała, głos dzwonka u Reformatów na jutrznią wołającego, słycać było. Na miasteczku też, po gospodach i dworkach, okna na w pół śniegiem pozasypanywane, świeciły już pozapalanemi rannemi ogniami, ale ludzi w rynku widać nie było.

Do zajazdu przybiegłszy, w którym brat stał, zdziwił się trochę podłowczy, furtkę we wrotach zastawszy niezamkniętą, a sięń wewnątrz ciemną. Na lewo więc, do izby wszedł szynkownej, gdzie Chaja i jej synowa się krzatały, około ognia i garnków.

— Wstał już? — zapytał podłowczy.

— Jakto wstał? — odparła Chaja, kłaniając mu się — godzina już będzie, gdy wyjechał.

Zachnął się aż Marcyan.

— Co mi prawisz? — zawołał.

— Zobacz pan naprzeciwno — odpowiedziała stara. — Icyk tam pewnie na sianie śpi, bo izba ciepła.

— Dokąd-że? jak? — zawołał niespokojnie podłowczy. — Nie kazał mi powiedzieć nic? Mielśmy widzieć się z sobą! Co u licha!

— Owszem — odezwała się Chaja. — Kazał się kłaniać bardzo i mówić, że jak będzie wracał, wstąpi do was.

Zaniemiał p. Marcyan, stał długo zadumany i niepewny jeszcze, co zrobi i czy pytać ma więcej, lecz, namyśliwszy się — kiwnął tylko gospodyni głową, wyszedł i napowrót do zamku pociągnął.

Rezedniało tymczasem zupełnie i po wczorajszej zawierusze dzień się zrobił jasny, wypogodzony, mroźny. Kupy tylko wielkie suchego śniegu zalegały kąty, i leżały dziwnie wiatrem ponasypanywane tak, że gdzieś tam ziemia gołą była, a tu i ówdzie, jakby wałami ogromnemi, sięgającymi do dachów, poprzerzynaną.

Na targ też nie widać było nadjeżdżających sani chłopskich, a ludność miejska przed chatami tylko nocne nasypy rozkopywała.

Marcyana, powróciwszy na zamek, siadł, jak wczoraj, u komina, na którym znowu gorzał ogień z polan olszowych — zadumał się o bracie.

Nierad był, aby o nim na zamku wiedziano, a choć Chaj pewnym się zdawał, że ona o gościu tym mówić nie będzie, to za ludzi w gospodzie ręczyć nie mógł, aby o nim nie gadali. W miasteczku zaś policją, zamkowi ludzie utrzymywali taką, że cokolwiek się tu działo, ktokolwiek się tędy przemknął, nocował, popasł, musiał o tem wiedzieć Wolski, a przez niego książe.

Owemu Wolskiemu który miał łaski u księcia szczególne, donosił kto tylko co zasłyszał, aby mu się przyliżał.

Nie było w tem kryminału, że się podłowczy z bratem przejeżdżającym widział, lecz, wołałby był, aby wzmianki o Damazyu nie było.

Myślał jeszcze o tem, a o bracie, kędy się podział i czy go w istocie usłyszał, oddalając się od Białej, gdy wszedł pisarz pytając o rozkazy. Trzeba było iść do koni i do psów, do klatek ze zwierzem, który dla łowów chowano: nie miał czasu rozmyślać długo.

Około południa, książe, który był faskę solonej łosiny obiecał Reformatom, podłowczego z nią i z jałmużną pieniężną wykommenderował do klasztoru. Nie było to ciężarem dla Marcyana, pójść do gwardyana, z którym dobrze żył i rad się zabawiał, ale ten dzień wołałby milezący przedświecić w kacie.

O. Remigian, gwardyan, już od lat wielu obierany ponownie, dlatego mianowicie, iż ze wszystkimi, a nawet z księciem chorążym, w zgodzie umiał żyć i na łaskę zasługiwać — był jednym z tych prostaczków, którzy od wielu uczonych więcej rozumu mają i taktu.

Z wejrzenia był to sobie zażywny, rumiany, wesołego oblicza mąż, który wyglądał na pospolitego człowieka; lecz potrzeba było pochwycić wzrok jego, gdy obiegał dokoła i uśmiezek ust

dobrodusznych złapać, gdy się ksiądz gwardyan tego nie spodziewał.

Naówczas objawiał się w nim ukryty ów i popiołem pokory przysypyany rozum, którym, właśnie dlatego, że się nim nie chwalił ksiądz gwardyan, że się go nie obawiano — najskuteczniej mógł się posługiwać. Przenikał on wszystkich, gdy go wcale o przenikliwość nie pomyślano, odsłanianio się przed nim dobrodusznie. Ksiądz gwardyan był wszędzie gościem najpożądanym, bo przynosił z sobą wesele, pociechę, zgodę. Pod tym skromnym habitem kryła się osobistość niezmierny wpływ wywierająca na społeczeństwo, choć mało kto wpływ ten uznawał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

Dwie katastrofy. — Teatra w Wiedniu. — Eden-Theater. — Niemiecki teatr w Berlinie. — Sztuka i sztuczki. — Teatr współczesny. — Scena polityczna. — Berlin i Watykan. — Prawa Majowe. — Karnawał w Berlinie i Dreźnie. — „Genowefa” Schumanna. — Miasta w zimie — Księgarnie i książki gwiazdkowe. — „Roland” Dorego. — Sztuki graficzne. — Miedzioryty. — Galeria wiedeńska. — „Życie Van-Dycka” przez J. Guiffrey. — Rafael i jego dzieła. — Carmen Silva; Królowa Elżbieta rumuńska. — Wiersz na śmierć ojca. — Życie i dzieła — „Falknerowie z St. Vigil” R. Schweichel, Hrabia Kaopyan, V. Meignan. — H. Malot. — „Sekret.” — „Pani Adam”. — Wspomnienie pośmiertne Alexandra Preyssa.

Smutno się nam skończył rok stary, daj Boże lepszym ten, u którego progę stajemy. Jeszcześmy nie oohłonełi ze zgrozy i przestachu po katastrofie wiedeńskiej, gdy wiadomość o wypadku w Warszawie boleśnie serce ścisnęła.

Skutkiem pożaru w Ringteatrze, wszystkie teraz niemal pustkami stoją, szczególnie w Wiedniu, gdzie pomimo przedsięwziętych środków ostrożności największych, nikt do teatru chodzić nie ma ochoty. Wspomnienie okropnej katastrofy nadto jest jeszcze świeże. Oprócz tego nigdy Wiedniacy zbyt miłośnictwa sceny nie mieli. Szło się do Burgu dla jego sławy, bo to była na całe Niemcy, oddawna najpierwsza, uznana za klasyczną, scena; biegło się widzieć i słyszeć wesołą i dowcipną Gallemeyer w possie; zresztą nawet takie teatry, jak Laubego Stadtteater, szczęścia nie miały. Mnogie piwiarnie i lada jakie Tingel-tangle ze śpiewkami wesołemi, przy piwie i obrzydliwych cygarach, wabiły daleko silniej.

Pomimo tych smutnych doświadczeń przedsiębiorcy tak zwanego Eden-theater, na obrzymią skalę zaprojektowanego, kończą swą budowę i spodziewają się do niej ściągnąć publiczność. W Berlinie klasyczny teatr niemiecki, spółki artystów, przychodzi do skutku w jesieni.

We wszystkim tem, ze smutkiem zapisać to potrzeba, — kwestya sztuki pozostaje na stronie, niekniętą. Na pierwszym planie spekulacja, a jako środek wszystko, co może pociągnąć widzów, począwszy od exhibicyi pięknych nówek, aż do popisu z uczonym słoniem i sztucznym słowikiem. Słowem: sztuczki, nie sztuka.

I to, co się dla sceny pisze dziś, czy zadanie sztuki ma na celu? Niestety! lub wcale je pomija, albo zbywa jaknajlekkomyślniej. Dumas, Sardou, *tutti quanti* mistrze dzisiejsi ubiegają się za efektami dramatycznymi, melodramat wkracza w komedię, dowcip garściami się sypie; poezyi w tem i artyzmu bardzo mało. Za to umiejętności, zręczności, rutyny, jaskrawych barw, kontrastów — bez miary.

Dobre, stare czasy minęły i jak wirtuozostwo po części zabiło muzykę, tak i tu popisy pojedynczych gwiazd zaćmiewają dramat.

Gdy się to dzieje na scenie teatralnej, scena polityczna równie jakoś pusto wygląda. Zapowiadają się najrozmaitsze dramata, w których to jedno, to drugie państwo, ta lub owa kwestya ma rolę odegrać, lecz zapowiedzi do skutku nie przychodzą.

Powszechna uwaga jest zwróconą w Niemczech na układy z Rzymem, które idą bardzo trudno i powoli. Z obu stron podobno nie zbywa na dobrej woli porozumienia się; w wielu już rzeczach zgodzono się, para biskupstw świeżo została obsadzonych za wspólnem przyzwoleniem stron obu, lecz głównie pono idzie o te katedry, których pasterze są na wygnaniu i dla których Rzym żąda przywrócenia, a ks. kanclerz dać go nie chce lub nie może. Mamy na myśli ks. kardynała Ledóchowskiego, którego nadzieja powrotu jest bardzo słabą, jakkolwiek ją kilkakrotnie zapowiadano.

Pozyskanie Centrum przez układy z Watykanem i zmianę Praw Majowych, która ma być wniesioną na przyszły sejm pruski, zwołany na 14 Stycznia, stanowić będzie o losach wszystkich projektów ks. Bismarcka. A że ks. kanclerz mocno przy nich obstaje, zdaje się, że pewne dla nich ofiary uczynić jest gotów. Tymczasem cicho i głucho; wszyscy wychekują, nastawiają uszu, nie słycać nic, przyszłość jest nieodgadniona.

Na karnawał zabawy się wielkie nie zapowiadają. W Berlinie tak zwane Subscriptions-Bälle, na których dwór zwykł bywać i które czasem gromadziły po trzy tysiące osób, z rozkazu cesarza, w obawie jakiego popłochu, mogącego za sobą nieobrachowane pociągnąć skutki, zostały na ten rok zaniechane. W Dreźnie odważniej zapowiedziano już bal tego rodzaju w teatrze na Nowem Mieście, zwykle na ten cel urządzanym właścicielom. Trzy bale dworskie zwyczajowe odbędą się też na zamku, pomimo, że królowa jeszcze nie wychodzi po ciężkiej słabości, którą przeżyła.

Jako nowość w teatrze wielkim mamy zapowiedzianą, nieznaną tu prawie, „Genowefę” Schumann'a.

Cała powódź zwykłych koncertów przebrzmiała już i w święta spocząć mogli dyletanci, gotując się do drugiej seryi ich, po karnawale. Panna Friedenthal, Warszawianka, bardzo dobrze tu przyjętą została, chociaż obcemu w ojezynie Kl. Wieck, Bülowa, i panny Krebs trudno sobie pozyskać uznanie.

Zima zresztą dotąd się prawie nie rozpoczęła, i napływ cudzoziemców na zimowe leże drezdeńskie wcale się jakoś czuć nie daje. Oprócz kilku wybitnych fizjognomij Angielek i Amerykanek, które po stroju i typowych ich rysach, łatwo rozpoznać, obcych mało. Moda, która dawniej wskazywała Dreźnie, zwróciła się podobno do Wiesbadenu.

Nie wiem, jak poszły interessa księgarzy tutejszych gwiazdkowe, lecz dotąd jeszcze widzę w oknach przepyszne oprawy ksiąg ilustrowanych bez liku. Dzieci i młodzież miały w czem wybierać, choć właściwych nowości było mało; dla starszych Stuttgart, Lipsk, Berlin dostarczyły nieprzeliczoną moc przepysznie ozdobnych i strojnych wydań, szczególnie — podróży. Zapożyczano się wzajemnie. Ebersa „Egipt” ukazał się po francuzku, angielska „Palestyna” po niemiecku, „Roland Szalony” uciekł się do ołówka Dorego.

Widzę z powtarzających się zalecań Rolanda tego, że niebardzo mu się powodzi. Trochę temu winien sam poemat, nieprzypadający do dzisiejszego smaku, a dużo i Doré. Pełen talentu i fantazyi, ilustrator ten, pomimo całego bogactwa motywów, które wytwarzać umie, w wykonaniu ich jest nieco jednostajnym, nuży tem, a nie zaspokaja tych, którzy rysunku i stylu wymagają po artyście. Tym, którzy poważniej sztukę pojmują i wołają mniej a coś prawdziwie pięknego, polecici możemy w Wiedniu wydawane, w kilku zeszytach co roku, „Sztuki graficzne” (Die grafischen Künste. Wien. Redact. Dr Oskar Bergrün. gr. folio). Pierwszy tegoroczny zeszyt zawiera, z przepyszności, stare wydania przypominającymi, ilustracyami na miedzi rytymi, życiorys genialnego Genellego, prześliczne kompozycje Feuerbach'a, Deffreggera, Kaulbacha, Wernera i t. p. „Sztuki graficzne” co do piękności wydania nie mają sobie równego nie; a treść odpowiada dobrze wdzięcznej powierzchowności. Stosunkowo nawet cena czterech zeszytów kwartalnych roczna (20 marek) wcale nie jest wygórowaną.

Obok nadzwyczajnego wydoskonalenia drzeworytnictwa, które często niemal z miedziorytem

o lepszą ubiegać się może, miedzioryt, aqua forta, długo zaniedbana, prawa sobie należne odzyskuje. Coraz więcej widzimy artystycznych wydań ozdobionych w ten sposób. Wymienimy tu tylko zeszytowe wydanie (XV Zeszyt się ukazał) gale-ryi wiedeńskiej ze sztychami (Radirungen) znakomitego W. Ungra, a textem Lützowa. Każdy zeszyt zawiera cztery wielkie tablice i kilka pomniejszych w tekście.

Miedzioryt ma, oprócz tego wdzięku, jaki mu daje odbicie, ton, tę wielką wyższość nad swym współzawodnikiem, drzeworytem, że się rodzi bezpośrednio pod ręką artysty i nie potrzebuje do wykonania cudzej zapożyczać dłoni, często nie dość się umiejącej przejąć tem, co powołaną jest tłómaczyć. Ale wydania ozdobione miedziorytami są dla ogółu nieprzystępne swą ceną.

Mówiąc już o dziełach ilustrowanych, nie możemy pominąć wydanego w Paryżu, „Żywota i dzieł Van Dyck'a“, przez p. Jules Guiffrey (Quantin). Jestto może największy zbiór dzieł tego niezrównanego portrecisty, starannie bardzo reprodukowanych.

Całe też prawie dzieło Rafaela, z textem Lübkego wydał tu w Dreźnie Gutbier, lecz, pomimo wielkich pochwał, jakie mu oddała powolnie dosyć krytycy, nie może zaspokoić wymagań prawdziwych znawców. Źródła, z których te reprodukcje czerpano, niezawsze były najlepszymi i one same, choć dają ogólne wyobrażenie kompozycji, nie wszędzie wdzięk ich i charakter odwzorowują. P. Gutbier wprzódy, niżej przedsięwziął to wydanie, urządził był Rafaelowską wystawę w Dreźnie, i cały swój materiał, którego miał użyć, poddał krytyce znawców. Był on bardzo różnorodny i trudno się było naówczas domyślić, że do tak zuchwałego przedsięwzięcia ma posłużyć.

Wiecie kto jest poetka, znana w Niemczech pod nazwiskiem Carmen Silva? a w Rumunii „Matką rannych“ (Muma rănitisor)? Jest nią królowa Elżbieta Rumuńska, z której albumu niedawno L. Ulbach na odczycie w Paryżu kilka pięknych myśli przytoczył. Niemiecki *Nord und Süd*, daje jej portret w Styczniowym zeszycie, i śliczną baśń, pod tytułem *Boleści*. Obok tego jest krótki życiorys królowej i kilka bardzo wdzięcznych jej wierszyków. Carmen Silva pisze już i po rumuńsku, a w ogóle pracuje bardzo wiele. Niegdyś zajmowała się dużo muzyką, którą porzucić musiała, ale lubi ją bardzo, maluje pięknie, czyta ogromnie (czasem na dzień po trzy tomy), pisze też wiele. Najwięcej się nam podobał w niemieckim języku brzmiący pięknie, wiersz napisany po śmierci ojca, w czasie której córka jego ulubiona i wychowanka — nie była. Oto dosłowne tłómaczenie, ale pozbawione harmonii, którą ma oryginał:

Wynieśli go, wynieśli,
Pocichu;
Ale na to, jak skarżyć nie będę,
Twa wola!
Wszak tak wszystko, com miała
Na ziemi,
Przenosi się powoli
Do grobu.
I sama, pókim żywa,
Isć muszę
Do mych grobów kochanych
Ze łzami.

Królowa Elżbieta, z domu księżniczka zu Wied, należy do rodziny, w której wyższe wykształcenie i zajęcie umysłowemi pracami nie było rzadkością. Prababka jej, księżna Luiza zu Wied, pisała także poezye, dziada bratem był słynny podróżnik i przyrodnik książę Maxymilian. Oprócz tych jeden malarz i jedna jeszcze poetka należą do rodziny. Ojciec królowej, także artysta, bezimiennie wydał po niemiecku, w Lipsku u Brockhausa (r. 1859), dwutomowe dzieło „Życie ducha i objawienie Boże“, a później dwie jeszcze rozprawy filozoficzne, o wolnej woli człowieka i doktrynie Kanta w tym przedmiocie. W Neuwied i Mon-repos zbierali się uczeni, literaci i artyści. Królowa więc wychowała się w tej atmosferze pracy umysłowej i pokochała ją z wczesna. Nau-

czono ją oprócz tego pielęgnowania chorych i ubogich, wykształcono jej serce zarówno z umysłem.

Urodzona w r. 1843, d. 29 Grudnia, królowa ma lat trzydzieści ośm, ale na portrecie wygląda młodo jeszcze i silnie. Rysy twarzy wyraziste są i pełne inteligencji; mają ten wdzięk, jaki ona daje. Królowa dla dziecięcia jedyne, które straciła, przekładała wiele pieśni ludowych rumuńskich na język niemiecki, niektóre z nich pod pseudonimem C. Wedi drukował Magazyn lipski literatur obcych. W czasie wojny 1877—8 była bardzo czynną w szpitalach, około rannych, których pociągi z pola bitwy przybywające sama przyjmowała w Bukareszcie, nie dając się zastąpić nikomu. Jej to przypisują, że narodowe stroje przyjęte zostały u dworu, i ona sama na bale przywdziewa malowniczy ubiór rumuński.

Baśń o Boleści, krótka, ładna bardzo, zasługiwałaby na tłómaczenie.

Powieści, któreby warte były czytania i rozpisywania się o nich, jest niewiele; lecz oto jedna z talentem i prostotą napisana, o której kilka choć słów powiedzieć się godzi.

„Falknerowie z S-t Vigil“ romans z czasów panowania Bawarczyków w Tyrolu, przez Roberta Schweichel (Berlin. 1881. Janke. 3 Tomy) odznacza się wielką znajomością kraju i obyczajów, które maluje, charakterystyką wyborną, a dla nas nadewszystko swobodą stylu niewymuszonego, naturalnością obrazów, wielką plastycznością postaci z życia wziętych. Czasami nieco długo się przeciągają opisy krajobrazów, ale są piękne i żywe.

Wśród francuzkiego nawału powieści, po większej części tem niesmaczniejszych, że niezmiernie wymęczonych i wysiłających się na jakieś efekta rażące zawsze nieprawdopodobieństwem, wpadł nam w ręce, niechcący romans węgierski: „Hrabia Kappanyani“ przez Wiktora Meignan. (Płon. 1881. 8-o 295 p.) Autor znał wcale dobrze kraj i stosunki, na których tle fabułę, po części może prawdziwą, rozwinął, lecz zanadto był Francuzem a zamało miał talentu, aby rzecz uczynić prawdziwie piękną, lub przynajmniej wartości jakąś mającą. Jestto romans jakich wiele, niczem się nie zalecający, a szczególnie świeżością treści i postaci. Wszystko to znani i zużyty bohaterowie, których odżywić p. Meignan nie umiał, niestety. Uwieńczonego raz przez Akademię H. Malot, nowa powieść, którą drukuje „Nouvelle Revue“ pani Adam, nie należy też do najszcześniejszych jego kreacji. „Miliony wstydlive“ niczem nas nie pociągają ku sobie, ani nawet poczciwym starym sługą domu, a heroina obudza w nas politowanie. Mniejsza powiastka w tymże zbiorze, „Sekret“, ma tę wadę, że od początku domyśla się każdy tajemnicy poliszynela, której tylko ten, kogo ona najwięcej obchodzi, odgadnąć nie może. Nie bardzo to pochlebnie świadczy o jego przenikliwości.

Pani Adam, redaktorka wymienionej „Revue“, odegrywa obecnie rolę bardzo czynną. Salon jej gromadzi wszystkie znakomitości, i ma niejaka cechę półurzędową. Zajmują się tu wiele polityką, mocno literaturą, bo pani Adam pisze sama (o nowej literaturze greckiej) trochę sztuką, i czasem dobroczynnością. Dzięki jej przedstawienie dane w Paryżu na korzyść ofiar Ringteatru, przyniosło, jak słyszymy, przeszło 70,000 franków. Cała prassa paryzka stanęła na rozkazy pięknej pani i popierała tę sprawę miłosierdzia.

Niech nam będzie wolno list ten zakończyć wspomnieniem pośmiertnem, najstarszego z przyjaciół, najdawniejszego z towarzyszy, najwierniejszego młodemu uczuciowi druha, który nas poprzedził na spoczynek, s. p. Alexandra Pressa. Uznano zasługi jego i pracę w Warszawie, gdzie długie lata w Towarzystwie Dobroczynności ważne zajmował stanowisko: współczucie i żal powszechny towarzyszył mu do mogiły. Zasługiwał na nie zmarły, swą prawością, zacnością charakteru i wielkimi przymiotami serca. Ostatni raz, gdyśmy go jadącego do Marienbadu widzieli, był zmienionym strasznie i cierpiącym, nie tak jednak, aby przedwcześnie śmierć mu groziła. Ożywił się chwilami, siły powracały, zdawało się, że tylko spoczynku i odetchnięcia powietrzem zdrowszem, potrzebował.

Niestety, nie domyśliłem się żeśmy na tej ziemi spotkali się raz ostatni. Pokój mu w mogile!

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY

przez

Bronisława Zawadzkiego.

Pan *Wilhelm Kotarbiński*, wychowaniec szkoły rzymskiej, który w roku zaprzyszłym zaprezentował się tak chlubnie publiczności warszawskiej, trzema kompozycjami w stylu biblijnym, pełnemi smaku i szlachetnego idealizmu, nadesłał znowu w końcu roku zeszłego na wystawę Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, trzy wielkie płótna rodzajowe, jedno z motywów romantycznych dzisiejszej Italii; dwa z życia domowego przeszłości klasycznej. „Gondola“ owiewa nas tchnieniem poetycznym krajobrazu morskiego, nie wiemy, czy ta gondola płynie ku Lido weneckiemu, lub opuściła cudowną przystań Sorrenta; dość, że znajdujemy się na szmaragdowej fali, wśród gęstej mgły, powlekającej horyzont szarą oponą, w atmosferze tęsknoty i rozmarzenia, w jakim kołysze się wyobraźnia, kołysanych falą morską młodych podróżników, płynących w ozdobnej gondoli, przy rozmarzających jeszcze tkliwiej i czulej dźwiękach gitary i arfy. Podróżni odbili przed chwilą od brzegu miasta, które nurza się już w brudnawo-zielonej mgłę i zacierają swoje kształty realne w tajemniczych fantasmagoryach. Zatoka spokojna, cicha, jakby rozteskniona i rozspiewana na jakąś nutę ossyaniczną, mglistą i rzewną, jakby zlaną z łez Petrarki i kołysana smętnem westchnieniem Tassa. Ta fala i ta mgła, siostrzyce dziwnie tęskne, smutne, melancholijne, są najpiękniejszym motywem obrazu, najszlachetniejszą jego częścią. Jest w nich niezmiernie dużo prawdy, poczucia natury, idealnego wdzięku i malarskiej szczerości. Zaraz bowiem dodamy, że to, co miało się pomieścić na owem tle, przejmującą duszę i dziwnie malowniczym dla wyobraźni, wypadło w wykonaniu artystycznym o wiele mniej fortunnie. W gondoli mieści się pięć figur: na kosztownej poduszce opiera się z arystokratycznym zaniedbaniem młoda blondynka, o cerze woskowo żółtej, która by kazała domyślać się, że kobieta ta jest chorą na suchoty, gdyby profil jej twarzy nie ukazywał kształtów pełnych i naturalnych, fizycznie zdrowych. Ubrana w sukni blado-zielonej, obrzucona jasno-różową zasłoną, z pękiem kwiatów, niedbale trzymany w dłoni, wydaje się raczej chorą na duszy, cierpiącą na jakiś spleen umysłowy czy serdeczny. Obok niej, podniesiona i łokciem oparta o poduszkę, zwraca się ku nam jej twarzyczka, brunetka, z czerwonym makiem we włosach, z okiem przymglonem lub też zadumą. Przed niemi, dwóch młodych, przystojnych a nawet pięknych, Włochów, przygrywa na instrumentach najzawęższych i najrzowniejszych, jakie przemysł ludzki wynalazł dla odmalowania sztucznie dźwiękami naturalnych tonów boleści i smutku. Ponad tą grupą osób siedzących, wznosi się wysmukła postać wiosłującego mężczyzny, bardzo charakterystyczna, zajmująca i szlachetnie modelowana. Mężczyzna ten jest najtreściwszym i najzdrowszym pomysłem w szeregu figur, przed chwilą wymienionych. Powiedzmy szczerze bowiem: cała zresztą grupa, pomimo estetyczności układów, pomimo ładnej kompozycji, zwłaszcza figur mężczyzn, jest nienaturalną, ckliwą, affektowaną. Melancholia ich nie jest szczerą; to, co miało być smutkiem i rozmarzeniem, nabrało wyrazu przesadnej patetyczności; z oczu blondyna, trącającego o strunę gitary, płynie łza, najwymowniejsza to ilustracja uwagi, którą uczyniliśmy. Zbiórwa expressya psychologiczna tej grupy, przypomina mdłe sielanki Gessnera lub erotyczne, zamierowane pieszczoły Mariniego, nie zdolne w marzycielskich nawet, ale szczerych i zdrowych usposobieniach wywołać głębszego wzruszenia. Romans włoski bywa innej natury: potrzeba tu

konieczne tonów namiętności; sądzimy, że dla subtelności artysty rozprawienie motywów tęsknoty i smutku na tle zmysłowego temperamentu włoskiego powinno stanowić niemalą ponętę. W każdym razie byłoby to bezporównania charakterystyczniejszym i prawdziwszym, niż ta czułość affektacyjna, która każe nam przypuszczać, że te kobiety i ci mężczyźni: to istoty schowane na duszy i ciele. Kompozycja grupy jest ładna i w dobrym smaku pomysła; artysta zna tok i powab pięknej linii; umie nadać jej załotną miękkość i wytworzyć ogólną harmonię form. Fantazja artysty, wykarmiona atmosferą piękna klasycznego i romantycznego, którem obrzmiała jest, że tak powiem, gleba włoskiego życia, ma znaczne, wdzięczne i estetycznie piękne pomysły, jak np. ów gołąb' pijący wodę i t. p. Ton obrazu w ogóle ładny i malowniczy, niektóre szczegóły domagające się miękkiego traktowania, wyszły jednakże za szorstko, jak naprzykład axamitne okrycie kolan spadające na wodę, malowane dość surowo. Woda jest dziwnie prawdziwą; ma szklistość i wilgoć ludzka. Koloryt wiele harmonijny, co stanowi jedną z największych, jak się zdaje, trudności dla dzisiejszych artystów, malujących ładną farbą, ale nie mających kolorytu.

„Wieńczenie hermów“, drugi obraz Kotarbińskiego niema zajmującego motywu psychologicznego, można go przeto sądzić tylko z kompozycji i tonu. Pod obu względami jest pięknym i szlachetnym. Zwłaszcza młoda brunetka siedząca na taburecie przed posążkiem jest figurą poprawnie modelowaną i w swej poważnej, spokojnej, iście klasycznej prostocie ujmującą. Rzecz dzieje się w jakichś propyleach pałacu; scena opiera się o tło białego muru, na ziemi leży blade żółtawy piasek, szaty obu kobiet białe: słowem wszystko w obrazie tak śnieżnie białe lub zaledwie w najdelikatniejszy odcień barwy żółtej przechodzące, że oko, patrząc na to, męczy się, jakby na jaskrawy śnieg patrzyło. Zaledwie kruczy włos brunetki i trochę kwiatów, rozsypanych na piasek, rozrywa monotonną jednolitość zasadniczego tonu. W obrazie tym podziwiamy chętnie styl właściwy, poczucie pięknej, plastycznej formy; natomiast razi nas pewna jałowość pomysłu i żądza wywołania efektu czysto kolorystycznego. Zawsze to sztuczka nie sztuka, choć z prawdziwym smakiem uzmysłowana.

Najzdrowszym wydaje nam się trzeci obraz: „Libelle“, pomimo niejasności pomysłu. Wolimy wszakże pomysł trochę niewyraźny, niż chybiłoby. Nad zasadzką ogrodową willi starorzynskiej, na okule kamiennym usiadła piękna blondynka i wdzięcznie ślania się ku stojącej tuż przy niej brunetce z biustem obnażonym, rwącej listki róży dzikiej, które opadają na jezioro i na schody, szmaragdowym mchem zlekką pokryte, a wiodące do sadzawki. Szczególnie piękną jest suknią opadająca z brunetki poważnym i wdzięcznym fałdem ku ziemi; kolor piaskowo-łniany przewija się w niej gustownie z gorącym ciemnym szafirem. Nad jeziorem latają barwne skrzydlate muszki wodne, od których obraz przyjął snadź tytuł. W obrazie tym uderza nas treściwe, jędrne i prawdziwe zrozumienie uczuciowości klasycznej. Niewątpliwie ta piękna brunetka, obrywająca listki róży nad jeziorem kocha i marzy, a jednak wyraz jej uczucia niema w sobie nic czułego, pieszczotliwego, romantycznego. Snadź, że to dziewica, wykrojona z ram spokojnego antyku, w którym pierwiastek marzycielskiej tkliwości wyrażał się tonami niezmiernie umiarkowanymi i potęgował raczej niż osłabiał siłę kobiety. Tło tego pięknego obrazu uzupełnia go harmonijnie szeregiem motywów przyrody, nawiązanych także na kamerton klasyczny. Grupy drzew malownicze i poważne; nad nimi zachód słońca; pod stopami dziewic gładka toń sadzawki, urozmaicona zieleni wodnem, pnącem się po kamieniach i wijącym szerokimi wstęgami w jeziorze. Ton obrazu chłodny, ale dobitny i energiczny — zawsze w duchu antyku. Streszczając wrażenie nasze, nazwalibyśmy p. Kotarbińskiego artystą *expresyi malarzkiej*, wychowanym na szlachetnych motywach przyrody i sztuki, obdarzonym wyobraźnią poetyczną i twórczą, dotychczas jeszcze niezupełnie wyklarowaną i stanowiącą w skłonnościach, ale zawsze zdolną do

szybkiego porozumienia się z tem, co stanowi realną podstawę sztuki: z pięknoscią formy. Osnowa psychologiczna jego obrazów niezawsze tłómaczy się dotąd jasno i zdrowo; artysta rzuca się czasem w ostateczności, zarówno w nastroju jak w technice malarzkiej; ale nie wydobywa nigdy efektów, zakazanych w kodexie uczciwej i rozumnej estetyczności. Jestto w ogóle talent pierwszorzędny i wielce oryginalny, który nie zaraz może wypowie ostatnie swoje słowo, ale kiedyś zabrzmi ono doniosle i majestatycznie.

Jana Konopackiego: „Ułana“ przenosi nas z poetycznej dziedziny sielanek włoskich w sferę rodzimego dramatu sielskiego. Losy bohaterki obrazu spopularyzowane są dostatecznie w powszechnie znanej powieści Kraszewskiego. Odtworzymy więc tylko sytuację, jak ją pojął artysta. O wiejski, rozwalony płot oparta stoi kobieta; jedną rękę podniosła w górę, kładąc ją na rosochatym konarze pochyłej wierzy; u nóg jej potok, ubrany kępami niezapominajek; w dali krwawa łuna zachodzącego słońca; dolny horyzont już zanurzył się w zmroku w którym tonie również oblicze Ułany. Koszula zgrzebna z czerwoną wypustką na ramionach, spódnica także czerwona, co przykręcym kolorze włosów, przy owej łunie krwawej dopełnia się w pewną całość tajemniczo-porywającego efektu. W głębokim, zadumanem, trością powleczone, o cichych dramatach duszy świadczącym spojrzeniu wyraża się ponura tęsknota, bez affektacji, bez teatralnego patosu. Obraz ten świadczy o pomysłnym rozwoju zdolności malarzkiej p. Konopackiego; ma on tę prostotę i szczerą naturalność pomysłu, która przekonywa i brata nas z cierpieniem lub rozkoszą fikcyjnej bohaterki. Ton obrazu w całości artystyczny; jest w nim wiele siły i dramatycznej ekspresji; kompozycja efektowna a przecież nie poświęcająca nic dla efektu. Koloryt energiczny i gorący; czuć w nim temperament, a prócz tego zdrowe poczucie natury.

Antoni Piotrowski wystawił obraz wielkich rozmiarów: „Przed kuchnią dworską“. Jestto kompozycja realistyczna, w dobrym znaczeniu słowa; realizm bowiem obrazu nie przekracza miary, nie kłamie naturze, ale też nie szuka efektów siły w gwałtownem wydobyciu na wierzch pierwiastku materialnego. Figury wzięte z życia w całej prawdziwej surowości kształtu; modele ich dobiegał artysta widocznie tak, aby to życie wyobrazilo się w nich materialnie i typowo; nie wahał się zatłuszczyć charakterystycznie kożucha na parobku, ani zeszlęm błotem oblepić twarde i duże nogi dziewczyny; zrobił wszystko żyłastem i chropawem, co pod ostrym wpływem słoty i wiatru dojrzewa. A mimo tego obraz ma wszelkie cechy smaku artystycznego, dzięki nieprzekroczeniu granic rubasznosci malarzkiej. Realizm dał mu siłę i urok prawdy, a utrzymywany w mierze nie pozbawił go pierwiastku piękna ukazanego w typowych formach życia. Parobek i dziewczyna są przytem pojęci bardzo oryginalnie; zwłaszcza parobek. Z usmiechu i złożenia ust poznać, że powiedział hożej dziewczynie komplement; zapewne szorstki on a nawet może tłusty, ale w tej sferze będzie to zawsze komplement, byle było w nim coś o urodzie i tęgości ciała, a jaknajmniej o duszy. Dziewczyna odwróciła się odeń „ze wstydu“, zaco jej wdzięczni jesteście, bo patrzy tem śmieiej na nas i usmiechem zadowolenia spowiada się z przyjemności, jaką jej pochwała dzielnego parobka sprawiła. Dziewczyna to snadź pracowita, bo nie idzie na lep słodkiego słówka, nie przystaje na próżniaczy rozchwor, w którym za komplementem poszłoby może wzięcie pod boki i całus, ale śpieszy dalej ze swym cebrzykiem czy konewką, bo jest przy pracy. Obok starsza gospodyni płucze coś w misce i wylewa tłustą wodę, do której zbiegają się kury, pontarki i gęsi. Dzieje się to na podwórzu kuchni dworskiej, skopiowanej wiernie z natury. Na ławce gotuje się i dymi samowar, przy płocie stoi koń, na którym przyjechał parobek, widocznie posłaniec z sąsiedztwa. Potoczna ta scena z życia dworu wiejskiego, a raczej z życia czeladzi, odbywa się snadź w jesieni; drzewa utraciły już liście, a z dali horyzontu wplywa ciężki siny obłok, niosący w swem łonie burzę. Ponury nastrój przyrody, rozlanie zmroku

po horyzoncie, szczególnie powiodły się artyście, który zarówno bystrym okazał się tłómaczem temperamentu natury, jak życia ludzkiego. Doskonalszym jest także pies, patrzący zpod oka z przedziwnym dowcipem i sprytem, na dziewczynę, jakby chciał ją uprzedzić, że zrozumiał, o co tu idzie. Pies ten jest żywołem humorystycznym w obrazie o sile szczerzego efektu. Pędzel artysty pewny siebie, szeroki a chętnie pieszczący się szczegółem; koloryt jędrny i zdrowy; rysunek poprawny; we wszystkim znać wykończenie i sumiennosc, troskliwą o rzeczy drobne, zarówno jak pierwszorzędne.

Cóż powiemy o p. *Wandalinie Strzałeckim*, który zachorował na płodność Lope de Vega, i zamiast robić studia akademickie, których tak bardzo mu potrzeba, zarzuca ustawicznie wystawę naszego Towarzystwa obrazkami, rzucanymi na płótno z pośpiechem, z chorobliwą gorączką, gorszymi jedne od drugich? Oto znowu mamy: „Powrót od ślubu“ i „Królową Marysienkę“. Tyle już pisaliśmy o nienaturalności, chaotyczności, przesadzie i braku stylu w obrazach p. Strzałeckiego, malowanych zawsze jednak *nie bez talentu*, że dosyć będzie, jeżeli wobec obrazu: „Powrót od ślubu“ spogujemy tylko wszystkie dawniejsze nasze uwagi i zarzuty. Istotnie dziwić się potrzeba, czego też p. Strzałeczki na jednym obrazie umieścić nie potrafi! Zdaje się, że wyznaczył tu sobie schadzke wszystkim narodowości, kostiumy i stulecia! I to wszystko pod ciasnym dachem jednego skromnego dworku szlacheckiego! Doprawdy, że przypominają się tu chyba gorączkowe fantasmagorie Würtza, ale tamte łączą z excentrycznością — trochę geniuszu. A szkoda, bo, powtarzamy to zawsze, p. Strzałeczki ma temperament artystyczny, ma ognistą fantazją i wrodzony instykt w kolorycie, częstokroć pełnym wdzięku i elegancji, a zawsze delikatności. Ale rysować, przedewszystkiem rysować! P. Strzałeczki zdaje się lekceważyć ten elementarny warunek, ten punkt wyjścia wszelkiej pracy malarzkiej. Na obrazie jego nie znaleźliśmy ani jednej figury poprawnie narysowanej. „Królowa Marysienka“ wyobrazająca scenę pieszczot domowych króla Jana i jego francuskiej połowicy, byłaby kompozycją o wiele lepszą, a nawet wcale niezłą, gdyby znowu nie przesada kolorystyczna, nie oslepiająca jaskrawość barw, zwłaszcza alabastrowo śnieżnej sukni Marysienki. Perspektywie możnaby także wiele zarzucić.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, w Grudniu 1881 r.

Siódma z kolei kometa tegoroczna. — Stare wspomnienia tego zjawiska. — Katastrofa wiedeńska. — Nowa sztuka p. Sardou'a, *Odette*, w Wode-ilu i literackie ztąd zatargi autora. — P. Bornier i jego *Apostól*. — Trudno płynąć przeciw wodzie. — P. Zeller i jego *Historja Niemiec*; tom IV: Panowanie Fryderyka Rudobrodzkiego. — Nowe wykopaliska i pomniki chaldejskie.

(Dokończenie).

Juliusz Zeller, Alsatczyk, członek Akademii nauk politycznych i moralnych w Paryżu, dawniejszy professor i rektor Liceum Strasburskiego przed zaborem, znany bardzo zaszczytnie we Francji i zagranicą ze swych prac historycznych, wydaje ważne i obszerne dzieło, pod tytułem: *Historja Niemiec*. Niedawno ukazał się tom IV, zawierający dzieje cesarstwa niemieckiego pod panowaniem Hohenstauffenów p. t.: *Cesarz Fryderyk Barbarossa*. Dzieło to, opracowane z najnowszych i najlepszych źródeł historycznych, zaleca się tą ścisłością w uporządkowaniu materyałów i jasnością wykładu, w których dobry pisarzy francuzcy celują.

Co do czwartego tomu tej historyi, który mamy przed sobą, jestto część najbardziej zajmująca i wybitna pracy p. Zellera, tak ze swej treści, jak i z nagromadzonych zasobów erudy-

cyi. Co do samej epoki dziejowej, panowanie Fryderyka Barbarossy jest najwyższym punktem, do jakiego się podniosła potęga Państwa Niemieckiego w Wiekach Średnich; była to bowiem chwila, kiedy ten przedsiębiorczy Hohenstauffen mógł wyznać sobie, nie bez pewnej dumy, że trzymał w ręku berło nowej monarchii powszechnej w Europie. Niepodległość ościennych Niemcom narodów o włos tylko co nie padła ofiarą potężnego zaborcy ludów.

Ale ta groźna idea monarchii powszechnej, w zarodku swoim, z woli Bożkiej i na szczęście ludzi, nosiła ziarno rozprzeżenia i prawo swojej niemocy. Tem ziarnem rozstroju była walka dwóch książęcych niemieckich rodów o przewagę i wpływ polityczny.

Z tej walki Welfów i Weiblingów, albo jak ich przeważano później, Gwelfów i Gibellinów, wyszło to starcie się dwóch stronnictw, na które się rozpadł cały świat ówczesny, we Włoszech szczególnie, które miały się stać podwaliną nowego państwa rzymskiego w niemieckich rękach. Te dwa stronnictwa podniosły dwa przeciwne sztandary: władzy cesarskiej i władzy papieżkiej — to jest ukorzenia się przed siłą i niewoli, albo poddania się prawu i wolności politycznej. Ta walka, to starcie się dwóch stronnictw, służy za wstęp do wspaniałej epopei panowania Barbarossy. I rzeczywiście: jest to wspaniała epopeja ten żywot człowieka, który się rozpoczyna wyprawą pierwszej krucjaty, i kończy w czasie drugiej, kiedy ten olbrzym teutoński zamyka powieki, tonąc w potoku syryjskim na drodze do upragnionego i już niejako widniejącego w dali Jeruzalem!

P. Zeller oznajamia francuzkich czytelników bliżej i lepiej, niżeli to dotąd czynili jego poprzednicy na tem polu — autorowie podręczników historycznych po większej części — ze szczegółami organizacyi państwowej, zwyczajów, obyczajów i umysłowej kultury, owych czasów w Niemczech. Wierny i doskonały jest obraz Niemieckiego Cesarstwa z jego sejmami, z jego książętami i dygnitarzami, duchownymi i świeckimi, z jego książętami i dygnitarzami, duchownymi i świeckimi, z diakami, komessami, margrabiami, Reingrafami, Wildgrafami, biskupami, z jego rycerstwem, mieszczanstwem i chłopstwem. Zupełny i dokładny jest również obraz społeczności ówczesnej w Niemczech. Zwyczajaje rozmaitych klas ludu, kawalerowie i damy, zamki i klasztory, — wszystko to występuje w żywych, jasnych barwach. Autor żadnego szczegółu nie wyłącza ze swych sumiennych opisów. Nauki i sztuki, olbrzymie katedry, naukowe zakłady, rzemiosła i ich specjalne urządzenie — wszystko również się łączy i układa w jedno zajmujące, płynne, jasne opowiadanie.

Na ogólniejszą pochwałę w dziele p. Zellera zasługuje przede wszystkim doskonała znajomość źródeł i zastosowanie ich umiejętne do celów pracy. — Ten cel jest widoczny i zarysowuje się w pełni na każdej karcie dzieła. Jestto kontrola prac niemieckich pisarzy za pomocą źródeł zachodnich, francuzkich i włoskich. Nie chciał wszakże autor zmniejszać ważności przedsięwzięć lub faktów, o które mu chodzi, owszem widoczna jest w nim dążność do oddania sprawiedliwości, bez uwielbienia na cudzą wiarę wszystkiego. Dla mnie, dla nas, jedno pozostanie tylko *desideratum*, a raczej jeden żal po przeczytaniu tego tomu i poprzednich: oto, że p. Zeller z równą biegłością i z równą erudycją nie uwzględnił w swej pracy stosunków północnych i zetknięcia się Cesarstwa Niemieckiego ze słowiańszczyzną. Wiemy dziś przecież dowodnie, jakie przeważne nieraz wpływy te wojny i te zatargi nad Elbą i nad Bałtykiem wywierały na politykę zaborczą Niemców, odcinając ich uwagę i siły ku tej stronie. Słusznie dziś powiedzieć można, iż posłużyły one do odwrócenia tej nawałnicy, grożącej ciągłym załewem południowo-zachodniej Europie. Jeżeli Barbarossa i jego następcy nie zdołali ufundować tak upragnionej dla nich Monarchii Powszechnej, przyczyną należy wielką w tem zasługe Słowianom walczącym za swą niepodległość. Ale *in magnis et voluisse sat*: bądźmy więc zadowoleni z tej pracy, która z jednej przynajmniej, i to najważniejszej,

strony, nowem i prawdziwym światłem rozjaśnia te wielkie, zamglone, z namysłu często, obszary obszary początkowej organizacyi niemieckiego, a jak je później nazwano, Rzymskiego Państwa, zapewne przez euphemizm pochlebstwa, który dalekie nadzieje i żądze, jakby spełnione już zaznaczył.

Kończąc ten list, winienem wam słów kilka wzmianki o nowem odkryciu, najstarszych może pomników Starożytności. Choć to odległe i prastare rzeczy; choć trudno je spojzić i związać z komedią Sardou, albo reklamacyami Ucharda: ale że i to spotykamy na naszej drodze, — więc słówko nie będzie od rzeczy; dobrze jest bowiem o wszystkim wiedzieć, a co mówią, posłuchać.

P. de Sarzec, konsul francuzki w Bassorze, znalazł na ostatnim prawie krańcu Mezopotamii południowej, w najdawniejszych siedzibach chaldejskich, ogromne ruiny miasta zasypane od wieków ziemią i przedstawiające się w postaci ogromnych jakby naszych mogił, powiązanych z sobą symetrycznie wałami. Wysokie mogiły czy wzgórza, były to niezawodnie publiczne gmachy, świątynie i pałace miasta. Wały to zwaliska murów, ulic i domów, pokryte, jak wszystko, naniesionym przez wieki piaskiem i ziemią.

P. de Sarzec przez całe lat cztery, z niesłychaną odwagą, cierpliwością i poświęceniem, pomimo zabójczego klimatu, pomimo niebezpieczeństw od włóczących się ciągle, koczujących hord rabusiów, pomimo wielkich trudności znalezienia za pieniądze, dobre nawet pieniądze, gotowych rąk do pracy, grzebał się w tej pustyni, podtrzymywany tą myślą, że znajdzie skarby droższe nad owe p. Schliemanna, skarby dające dotykalne, widome ślady tej przedhistorycznej cywilizacyi prastarych Chaldejów.

O cztery dni drogi od Bassory znajduje się miejsce, przewane od Arabów tamtejszych *Tello*, od tych właśnie mogił czy wzgórz, które się wznoszą w pośrodku płaskiej, rozległej pustyni, na lewym brzegu jeziorzyska, zwanego Chot-el-Hai. Jeziorzysko to, jest to starożytny, rozlany tu wśród mokradel kanał, łączący Tygrys z Eufratem. Mogiły zajmują przestrzeń 6 lub 7 kilometrów, a główną z nich p. de Sarzec nazywa mogiłą, czy *Tellem wielkiej świątyni*.

Świątynia ta, wzniesiona na podmurowaniu z suszonej cegły, panuje nad pustynią z wysokości 15 metrów. Jestto czworobok długi 53 metry a szeroki 31 metrów, cztery jego rogi są zwrócone do kardynalnych punktów horyzontu. Na tym punkcie w ostatnich dwóch latach p. de Sarzec rozwinął całą swą działalność, i tu odkrył wszystkie te zabytki architektury i snycerstwa, które są dziś złożone w Muzeum w Luwrze. Palone cegły z których budowane są mury świątyni, noszą na sobie piętno królewskie, to jest tak zwane *kartusze 0* z imieniem, jak dotąd wyczytano, *gudea*.

W tych zwaliskach znalazł p. de Sarzec ośm posągów z odbitemi głowami, wielką ilość potłuczonych urn i naczyń z napisami éwiekowemi, małe posążki główką, bardzo misternej roboty, wiele cylindrów z pieczęciami wielkich rozmiarów i t. d. Wszystkie te ułamki pokryte są napisami éwiekowemi, których archaiczne formy są w takim stosunku do napisów babilońskich i assyryjskich, jak pismo fenickie do hebrajskiego; widać w nich początek tej epigrafiki, która dziś zajmuje kilku specjalistów uczonego świata i którą tak wam dobrze i jasno popularyzuje w Warszawie p. Radliński.

Najciekawszym może okazem tej architektury i snycerskiej sztuki jest ogromna płyta z białego kamienia, pokryta cała z obu stron napisami éwiekowemi archaicznego rodzaju i płaskorzeźbami przedstawiającymi dziwne i okropne sceny morderczej wojny. Widać ulatujące sępy nad polem bitwy, unoszące w szponach głowy i poszarpane części ciała ludzkiego; tam ludzie z koszami w ręku idący po trupach, tam znowu, wojownicy jacyś, ze sztandarami, w czapkach dziwnych dwórożnych, — wszystko to w stylu pierwotnym, najwym, przypominającym ostatnie brzozy odkryte w Etrurji.

W znalezionych posągach, które są wszystkie wykute z kamienia wielkiej twardości, zwanym *Diorytem* albo *Dolerytem*, nieznanego się nigdzie w Mezopotamii, (kamień ten jest ciemnej barwy jak nasz łupek albo krymski porfir), sztuka

rzeźbiarska występuje już na stopniu pewnej doskonałości, a jeżeli postaci są trochę zanizkie, przysadkowate, to należy uważać jako może właściwy charakter tej rasy, bo reszta: ręce i nogi, są wykończone z większą nawet ścisłością, niżeli egipskie.

Odzienie proste i pierwotne, długa płachta szczerzenie okryta około ciała, czasem z frendzlami, jak dotąd w Indyach i w Egipcie spotykać można — rysy proste, wydatne, silnie zarysowane, głowy i twarze gołone. Słowem: ciekawe, ciekawe! Ale kończyć potrzeba, bo ten list — to nie książka.

DROBNE LISTKI.

Dwie drogi tworzą gościniec żywota:

Jedną nadzieja, a drugą tęsknota

Wiedzie przez losów za wiłość.

Lecz w piersi ludzkiej jedna tylko cnota,

Jedna jest twórcza moc: miłość!

Czy boli rana, w uścisku zadana,

Czy rozkosz może wcielić się w cierpienie?

Jeżeli dusza do piekieł skazana,

Drugą za sobą pociąga w płomień,

A ta, ramieniem lubem opasana,

Kiedy w ogniste morze się zanurza,

Czy ma na ustach jęk, lub też westchnienie,

Które wydaje z siebie, jak woń róży?

WIADOMOŚCI

Literackie, artystyczne i naukowe.

— *Katalog rękopisów Biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego* jest już dziełem zupełnie ukończonym. Składa się on z dwóch części: pierwsza (str. LI i 1/458), obejmuje Przedmowę, Wskaźnik tożsamości znaków literalnych na manuskryptach z liczbami i Wymienienie wraz z opisem 1,875 rękopisów; w drugiej (str. 449/876 i LXXXI) mieści się dokończenie właściwego katalogu, aż do ostatniego, 4,176, numeru, oraz *Index personarum, locorum et rerum memorabilium* (Wskaźnik osób, miejsc i rzeczy godnych uwagi). Obok tytułów polskich, do obu części dla użytku uczonych cudzoziemców dodano łacińskie; w tym języku również są napisy głównych działów.

W przedmowie Dr Wł. Wisłocki, któremu ułożenie katalogu zawdzięczamy, kreśli w krótkości historją szacownego zbioru. Niezależnie od tego pod każdym numerem bieżącym wskazano źródło nabycia i, jeżeli rzecz nadawała się potem, przypomniało koleje, jakie rękopismo przechodziło.

Układ cały odznacza się zwykłą starannością wydawnictw naukowych Dra Wisłockiego. Łatwo tu wszystko znaleźć, a szczegółowość objaśnień i wskazówek uwalnia od bezpotrzebnego przerzucania rękopisem, dla danego przedmiotu nieużytecznych. *Concordia* i *Wskaźnik* oileśmy dotychczas *Katalog* poznali, dobrze prowadzą poszukiwacza i zabezpieczają go przed stratą czasu.

Ciekawe są dzieje tego szacownego archiwum, którego inwentarz, dzięki pracy młodego uczonego, a nakładowi „Akademii Umiejętności“, stanowi dziś już *res communis omnium*. Dawnością swoją skatalogowane zabytki sięgają X wieku po Chr.; wszystkich, aż do końca XIV w. jest 492; wiek XV stosunkowo największą przedstawia obfitość, bo aż 1,243; z wieku XVI pozostało tylko 417; od początku XVII w. aż do ostatnich czasów reszta. Wszystkich rękopisów jest, j. w: 4,176 w 5,226 tomach.

Według materiału, na którym pismo utrwalono, manuskrypta Biblioteki Jagiellońskiej dzielą się na pergaminowe (*cod. membranacei*)—298; mieszane (*codices mixti*)—97 i papierowe obejmujące resztę numerów. Według formatu zarazem i rzeczy podzielono zbiór na: *Polonica in folio* (NN. 1—1,474), *Theologia in folio* (NN 1,175—1837), *Libri manuscripti in quarto* (NN 1,838—3,200), *Libri manuscripti in octavo* (NN 3,201—3,788), *Rękopisy senatu uniwersyteckiego w Krakowie* (NN 3,789—4,140) i na koniec Rękopisma przybyłe w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu (NN. 4,141—4,176). Ten ostatni podział przedstawia się trochę niejasno.

Katalog, ukończony w 1877 r., zaczął wychodzić z Drukarni Uniwersyteckiej, nakładem Akademii w 1877 r.; ostatni, ósmy, zeszyt ukazał się w końcu roku zeszłego. Całe dzieło ma blisko 64 arkusze w wielkiej ósemce, drukiem drobnym.

Za przykładem Biblioteki Jagiellońskiej, która już zrobiła swoje, i Zakładu Ossolińskich, który swoje robi, powinnyby pójść główne biblioteki kraju. Tam, gdzie zasób niewielki, możnaby się między sobą porozumieć i wydawać wspólnie. Archiwa Czartoryskich, Branickich, Raperswylskie, dawne Meleszków w Żytomierzu, Towarzystwa Przyj. Nauk w Poznaniu, Ordynacji Krasińskich, Willanowskie, a nawet Szkoły Głównej w Warszawie, to ostatnie najmniej, kryją w sobie setki rzeczy ważnych i dla nauki potrzebnych. Dlaczego je przed powszechnością swoją ukrywać, dlaczego ich do ogólnego inwentarza nie podać? O tym inwentarzu pisano już tu nieraz. Gdybyśmy byli magnatami z serc i umysłów swoich, spisalibyśmy nietylko to, co mamy u siebie, ale i to, co rozproszone dziś po całym świecie, świadczy o przeszłości naszej.

— Rok nowy—pisma nowe. Dziesięć dni temu ukazały się poraz pierwszy dwa czasopisma codzienne: *Reforma* w Krakowie i *Słowo* w Warszawie; zadanie pierwszego z nich ma być nawoływanie do nowego stronnictwa postępowego w Galicyi; zadanie drugiego—godzenie rozumnego postępu z dobrą tradycją. Programat pisma krakowskiego wskazuje, że w zamiarze wydawców leży wytworzenie wielkiego organu, przeważnie polityczno-społecznego, przemawiającego w imię przekonania, nie uprzedzeń. *Słowo* ma być również czemś niemałym, ale będzie ono czemś przeważnie informacyjnym, jak inne nasze codzienniki. Publicystyczne artykuły początkowych numerów *Słowa*, po których właśnie najwięcej spodziewać się należało, zawiodły oczekiwania tych, którzy z wykształcenia i talentu niezawodne już wyciągali wróżby. Duszą tego wydawnictwa jest p. Henryk Sienkiewicz (Litwos); do pomocy stanęli mu: pp. Breza, autor głośnej krytyki na *Zarys* Chmielowskiego, i Zalewski Antoni, poprzednio współpracownik *Echa*, w dziale przeglądów politycznych.

Słowo, w hierarchii naszego dziennikarstwa, staje do szeregu z *Gazetą Polską*, *Gazetą Warszawską*, *Echem* i *Wiekiem*. Nie podzielamy zdania o zbyteczności, a nawet szkodliwości, nowych czasopism: owszem, i chociażby na niewysokim stopniu, każdy nowy objaw nowej energii, nowego rozumu i zdolności, może być pożytecznym i powinien też być mile witany. Każdy chce żyć, każdy chce przemawiać własnymi ustami, pracować na samego siebie. Niech więc do gonitwy stanie jaknajwięcej współpracowników; kto na lichym rumaku pojedzie, ten padnie, i ostatecznie utrzymają się tylko najsilniejsi, bo i tak zwane szczęście jest siłą, jest wartością, której lekceważyć nie wolno. Ludzie, co zakładają czasopisma, nie pisaliby książek; a pieniądze,

nawet stracone na pismo, będą zawsze lepiej, szlachetniej straconemi, niż na inną jaką gałąź przemysłu ludzkiego.

Słowo dwóch lat z górą potrzebowało, aby przyjść na świat. Pozwolenie pierwotne otrzymał p. Niemirycz, prawnik praktyczny; ten, gdy redaktorzy złożyli i zamiaru wydawniczego, dla braku innych jeszcze warunków, urzeczywistnić nie mógł, poszukiwał długi czas nabywców, aż znalazł ich w osobach pp. Sienkiewicza i Brezy. Numer wydany dla przerwania przedawnienia w roku zeszłym, mało w czyjem był ręku i dziś już należy do rzadkości bibliograficznych.

Redakcją *Reformy* prowadzą: Adam Asnyk, Tadeusz Romanowicz, Tadeusz Rutowski i Mieczysław Pawlikowski. Ten ostatni wraz z d-r'em Czerwińskim dostarczyli fundusów na wydawnictwo, któremu z całego serca posyłamy: *Szczęście Boże!* Powodzenie *Reformy* będzie wielką wygraną dla całej prowincyi. Kraków zwłaszcza potrzebuje rozruszania się, otrząśnięcia z uprzedzeń i przesądów, które za prawdy nieomylnie uznaje, — potrzebuje *odkrakowienia się*, a to właśnie da mu *Reforma*, jeśli tylko pierwszy rok przeciwko prądowi szczęśliwie przepłynie.

Gdy mowa o szczęściu, — szczęściu wspartem umiejętnością kierunku, ruchliwością i zabiegliwością wykonawczą, nasuwa się na myśl własną siłą swoją *Kuryer Warszawski*, który pod umiejętnym sterem Wacława Szymanowskiego, a przy niestrudzonej pracowitości p. Tad. Czapelskiego, i coraz bardziej rosnących potrzebach publicznych, osiągnął z początkiem bieżącego roku liczby 19,500 egzemplarzy codziennie odbijanych. Jestto pierwsze pismo polskie tak poczytne.

— Karol Estreicher zawiadamia nas w liście swoim o postępie druku *Bibliografii polskiej*. Obecnie drukuje się pierwsza połowa Tomu VII, obejmująca dalszy ciąg dopełnień *Bibliografii XIX stulecia*, począwszy od litery P. Co tydzień prawie wychodzi zpod prasy jeden arkusz. Tom VII zamknie wiek XIX. Do tomu VIII całkowitej *Bibliografii* wejdzie dawna nasza spuścizna książkowa od początku wieku XV aż do XVIII. Zasób tytułów uporządkowany tu już jest chronologicznie do roku 1640.

Smutną wyczytujemy wiadomość w liście tak bardzo zasłużonego człowieka. Oto „prenumeratorowie gromadnie odpadają“. Dajmy pokój komplementom: stoimy nie w salonie, ale w obliczu prawdy. Ubodzy jesteście jeszcze ciągle duchem, życie

nasze umysłowe zostaje tylko na łasce zmysłowego. Bawić się jeszcze powieściami i gazetami umiemy; ale myśleć i pracować — rzecz to samych piszących. I o tem jednakże zapominamy, że tylko przy współistnieniu, przy wzajemnem wspieraniu się dobrych pisarzy i dobrych czytelników, może być dobra literatura. Owo *gromadne odpadanie* wstydem prawdziwie nas okrywa; dowodzi bowiem słabnącego zamiłowania do piśmiennictwa ojczystego, które przecież jest częścią duszy naszej, nienajmniej, nienajmniej znaczą.

Jest już nadzieja, że za kilka lat będziemy mieli i wykaz chronologiczny do *Bibliografii XIX stulecia*. Komitet Pomocy Naukowej Imienia Józefa Mianowskiego, dzięki początkowaniu swego członka, p. Chmielowskiego, zawiadującego sprawami literatury właściwej, postanowił zapewnić niezbędne do pracy warunki zewnętrzne, a pracy samej podejmuje się p. Edward Minkowiecki, o którym wspominaliśmy w N-rze 48 *Bluszczu* z r. z. i któremu sam Estreicher w przedmowie do T. II swej *Bibliografii* złożył należne za ciągłą a bezinteresowną pomoc uznanie. Obecnie bibliograf krakowski układa prawidła, według jakich opracowanym ma być wykaz powyższy. Byłoby bardzo do życzenia: aby uwzględniono przytem okoliczności: 1) Wykaz ograniczyć tylko do rzeczywistych utworów piśmienniczych, wydanych w języku polskim, 2) pod każdym rokiem odłączyć dzieła oryginalne od tłómaczonych, 3) posunąć wykaz do r. 1880 włącznie i na tym roku go zakończyć.

— Raz znalazłszy się na polu bibliografii, wspomnieć tu jeszcze musimy o nowości, jaką od Nowego Roku wprowadził D-r Wł. Wisłocki do swego *Przewodnika*. Jest nią *Kronika* faktów obchodzących bibliografów, literatów i zbieraczy książek. Podobną kronikę z programmatem bardzo urozmaiconym i dobrze obmyślanym, mieć będą *Wiadomości bibliograficzne warszawskie* p. Teod. Paprockiego, zapowiedziane w N-rze 48 niniejszego pisma z r. z. Pierwszy numer *Wiadomości* ukazać się ma d. 15 Lutego r. b.

Do dzisiejszego numeru „*Bluszcza*“ dołącza się dokończenie powieści pod tyt.: **Marek**.

OD WYDAWCY.

Ponieważ powieść pod tytułem: **Szczęście Boże**, świeżo rozpoczęta w Nr 1 „*Bluszcza*“, istnieje już w polskim przekładzie, a tem samem dla pewnej części prenumeratorów nie byłaby pożądaną, przeto druk dalszego ciągu przerwany zostaje; począwszy zaś od następnego numeru, w to miejsce dołączać będziemy inną powieść.

ogłoszenia do **BLUSZCZU** przyjmuje wyłącznie kantor agenturowy **BERNARDA BERSOHN** w Warszawie przy ulicy Nowy-Świat Nr 67.

TPEŚĆ. Adam Asnyk, biografia, (dokończenie), przez Maryą Ilnicką. — Na Bialskim zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Listy z zagranicy, J. I. Kraszewskiego. — Przegląd artystyczny, przez Bronisława Zawadzkiego. — Nowiny paryżkie, (dokończenie). — Drobne listki. — **Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe.**

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glückseberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 29 Декабря 1881 года.